

wtedy tak się znajdował, że kusiciel żałować musiał swoich zamiarów.

Mamże jeszcze dalej wyliczać przymioty i czarowne zalety ducha Adama? Źródło to niewyczerpane. Nie skończyłbym przedko, gdybym chciał je wszystkie opisać, a lzy, które mi się nasuwają na myśl tak wielkiej straty, nie pozwalają na obszerniejszy opis.

Wspomnienia te napisane zostały z powodu rocznicy zgonu Adama. Myślą więc stoimy nad grobem, który tyle wielkości pochłonął. Duch jego nieśmiertelny uniósł się tam, gdzie są duchy Kochanowskich, Żółkiewskich, Skargów, Czarnieckich, Kościuszków i Rejtanów. Jest on w Panteonie Polski, który się wznosi w sercach narodu. Z zastępu tego poważylem się wywołać postać Adama, którego myśli, uczucia i cnoty w pismach i w życiu przewodniczą narodowi. Weźmy je do serc naszych, uwielbiamy, a przedewszystkiem idźmy jego śladami. Ślady te są prawdziwą i jedynie dobrą drogą dla dzieci Polski. Na niej znajdziemy wsparcie i łaskę Boga i błogosławieństwo wielkich ojców naszych! Pod tą chorągwią, którą niósł Adam, doczekamy się spełnienia odrodzenia ojczyzny, doczekamy się tej wielkiej chwili, którą Adam proroczo zapowiedział:

I tajne brzemie lat  
Wydało płód  
I stał się cud  
I rozraduje świat!

## Z PODRÓŻY PO INDOSTANIE.

Przez

Władysława hr. Tarnowskiego.

Do najczynniejszych podróżników naszych należy niewątpliwie Władysław hr. Tarnowski. Zwiedził on już prawie wszystkie kraje Europy, część Azji i Afryki, gromadząc wszędzie skarby wiedzy i wrażeń artystycznych. Niedawno odbył podróż po Egipcie, Palestynie, Syrii i po pustyni aż do ruin Palmiry dotarł. W roku obecnym podróżuje po Indostanie, zwiedzając wszystkie miejsca pamiętne dla dzieł sztuki, jakie posiadają, badając lud i jego urządzenia. Otrzymał list od naszego podróżnika, poety i muzyka z Kalkuty, datowany 18go lutego 1878. Jakkolwiek list ten nie był przeznaczony do druku i zawiera tylko obraz wrażeń przelotnie skreślony, mieści jednak w sobie tyle zajmujących i pięknych szczegółów oraz trafnych spostrzeżeń, iż nie możemy oprzeć się pokusie podzielenia się nim z czytelnikami „Ruchu”. Władysław hr. Tarnowski jest drugim polskim podróżnikiem, zwiedzającym Indostan w celach naukowych i artystycznych: pierwszym był Adam hr. Sierakowski. List, o którym mowa, brzmi jak następuje:

„Podróż moja dotąd idzie szczęśliwie, — miała chwile ciężkie i trudne, ale za to i chwile wielkie nauki i rozkoszy pełne. Po Indjach podróż moja jest tak dobrze jak skończoną, bo prócz kilku małych wycieczek z Kalkuty, które zrobić jeszcze zamierzam, zwiedziłem morzem, koleją, wózkiem, koniem, wielbłądem i słoniem wszystko, co jest najważniejszego z zabytków historycznych wielkiego, nieszczęsnego narodu, który od wieków szarpie się z najazdem i niewolą, a zwycięża i zwycięży oboje trudem łez, krwi i niesłychanego przywiązania do wszystkiego co ojczyste. Zajrzałem więc w tę kolebkę cywilizacji świata, którą ludzkość

pograżała (za co jej biada!) w barbarzyństwie. Zajrzałem w tę kolebkę i załamalem nad nią ręce w bezbrzeżnej boleści, ale słońce przyszłości spojrzalo mi w oczy i rozświetliło przestrzenie lepszej, niepodległej doli narodów, w którą wierzę, bo wszystkie narody, każda cząstka ludzkości, a tem bardziej te które cierpią, są drogie memu sercu i rany ich mnie boją.

Spojrzyj na mapę, a odbędziesz duchem ze mną tę podróż, o której tyle marzyłem, a z której dokonania dumny będę, jeżeli dokonam.

Z Tryestu popłynawszy, przebyłem cztery morza: Adrjatyk cichy i wypogodzony; Śródziemne, które szalało przepysznymi burzami, odpowiedniemi memu usposobieniu; Czerwone morze, którego piekielne skwary przebyłem zwycięsko, patrząc na górę Sinai z uniesieniem, jakiego każdemu choć raz w życiu żyć, odbywszy z Suez wycieczkę puszcza do Ruin Mussa, miejsca, gdzie Mojżesz źródło ze skały dobył dla swego narodu. Tam chwilowo chory i gorączką palony modliłem się o polskiego Mojżesza, a źródło to, z którego się napiłem, wróciło mi zdrowie. Jest ono w tej puszczy dla wszystkich zagadką. Skały już zasypane piaskami przerażającymi, ale źródło wierne powołaniu swemu, dobywa się ciągle z pod piasków, sączy się i żywi śród otchłani puszczy prześliczną oazę palm, których olbrzymiemi kitami na tle błękitów wiatr porusza z gracją niewymowną. — Ztamtąd widać rozoslane śpiące szafiry Czerwonego morza, oprawne w bursztyny piasków; tam gościnnie Beduin przyjął mnie w swym domku kawą i chorego jak dziecko ukołysawszy, nakrył własnym dywanem.

Wróciwszy do Suez, płynąc sześć dni między Nubją, Abisynją a Arabją Felix, trąciwszy o miasto Aden, wpłynąłem na Ocean Indyjski, który w piętnaście dni przepłynawszy pięknymi dniami i nocami księżycowemi, pełnemi muzyki, bo nie próżnowałem i grałem na fortepianie w pełnem morzu śród licznych słuchaczy, stanąłem 22. grudnia w Bombaju w upał straszliwy.

Port Bombaju olbrzymi i piękny, z wyspami Elefantą i Salsetą, nie dorówna jednak Bosforowi ani Neapolowi. Miasto Bombaj wielkie ludnością, ale antypatyczne, z kiepską europejsko-angielską, czysto kupiecką i ubogą w starożytnie zabytki. Za to wyspa Elefanta oczarowała mnie tak naturą fajską, jak grotami o rzeźbach mitologicznych starożytnej cywilizacji indyjskiej. Przejęły mnie tak swym wyrazem, że się zrywałem po nocach na ich wspomnienie. Wycieczka w góry Puna, o klimacie prawie europejskim, wróciła mi siły i ztamtąd trzydniową koleją śród wybuchającej natury stanąłem w Madrasie na wybrzeżu koromandelskim, prześlicznym, upowitym w zieloność. Olbrzymie tu drzewa, kwiaty, tytaniczne kaktusy i bluszcze o bajecznej wielkości rozgałęzieniach, po cichych wodach ściele się Lotus tajemniczy i uświęcony, a morze grzmiąc bije o brzegi. Madras dziki, bujny i namięty, obecną nędzą przerażający do pobolewania włosów, przypomniał mi ukochany mój Damaszek, ale jest większy i ma rozkoszniejszą naturę. Wąż pełza tu swobodnie, tygrys ma klatkę w każdym większym ogrodzie, słoń, wielbłąd i gazela chodzą po trawnikach, a małpa w wojnie z papugą i wiewiórką (aryplay) kołysze się w powietrzu, na drzewie ogonem zawieszona, dokucając kolosalnemu nietoperzowi, który podobnie gubi się w gestych krzewach i gałęziach.

Z Madrasu ciągle na południe dążąc, mimo skwaru miałem szczęście ujrzenia największych pagód

staroindyjskich w Trichinopoli, Szringham i Madura. Oczarowały mnie i są ostatnim wyrazem piękna i potęgi ducha ludzkości w najpierwszych wiekach jego dziewictwa, wielkie jak Goljat, jak Dawid miłościwe w swej prostocie i wyrazie tajemnic pełnym.

W Madura napadła mnie cholera, z którą nie przevalczywszy, zwyciężyłem ją kroplami Bastlera z Wiednia zabranemi. Im zapewne wiuienem życie. Z dobrą miną we dwa dni potem udałem się do Megapota i znów przez Madras ku Bombajowi przez boski Bangalor wracając, udałem się w góry Materan, chłodne i tak piękne morskimi widokami a niebem swoim i naturą, że rozstać się z niemi nie mogłem. Po kilku dniach odpoczynku w Bombaju, gdzie jeszcze zwiedziłem Pandrapul, kolosalny szpital dla starych zwierząt, pracować już nie mogących, mieszczący stare woły, krowy, psy, małpy, kury, króliki, koty, konie i ślepe tygrysy i szakale, utrzymywane funduszem 50.000 funtów, które poczciwy lud indyjski na to składa, udałem się dalej koleją, często się od niej oddalając. Najprzód zwiedziłem przepyszne grotty rzeźbione w Ellora. Jest ich trzydzieści kilka, przeważnie budaistyczne. Wspaniałość ich i rzeźba przechodzi te, co w Elefanta podziwiałem i oko zdumiewa. Dzisiejsi rzeźbiarze, zwłaszcza pod względem natchnienia i świętego ognia, co łaską schodzi z góry, mogliby tam niejednego się nauczyć... Dalej kopalnie marmuru w Kawnur i Jeypoor zwiedziłem na słoniu, i prześliczny Allahabad (z kąd posłałem ci indyjski dziennik o nas Polakach i o Syberji piszący). Tu poczynają się pomniki cywilizacji mongolskiej, odpowiadające Alhambrze w Grenadzie, a choć jej nie dorównują czasem w piękności, swymi rozmiarami, potęgą i co najciekawsze pomieszaniem nierozdzielnej architektury saraceńskiej z indyjską, są niezmiernie ciekawości i porywają umysł mimowolnie.

Miasta Agra i Delhi, które następnie zwiedziłem, wielkością ruin tak indyjskich z najstarszej epoki, jak saraceńskich, mogą z Rzymem i Tebami śmiało współzawodniczyć, a moszeja Taj w Agra uznana od wieków za cud świata. Jest prześliczna, ale dla mnie za zimna klasyczna, gniewałem się sam na siebie za brak entuzjazmu dla niej, ale nie mogłem inaczej. W Delhi wśród mnóstwa skarbów odwiedziłem grób poety Kuzru, Mocarze świata, jego mecenasi spruchnieli, zapomnieni w prochu, a pieśń poety żyje w ludzie, który ją wciąż śpiewa po tylu wiekach. Pieśń jego słyszałem przy jego grobie przez chór śpiewaną, i wśród innych na ten grób rzucałem pomarańczowe kwiaty. Dziś pielgrzymują do niego i widziałem jak rzucając się na ten grób z płaczem go całują. Szczęśliwy poeta i lud taki szczęśliwy!

Z Agra przez Umbala zbliżyłem się ku góróm Himalai, których szczyty najwyższe na globie ujrzałem z zachwytem i podniesieniem ducha. Wózkiem indyjskim dwukołowym, zwanym Tonga, dostałem się aż do Simla wśród śniegów 8000 stóp nad morzem, a ztamtąd brnąłem pieszo w śniegach na górę Jako (Żako), z kąd panoramę olbrzymiej Himalai objąłem okiem i wyteżyłem ramiona jak skrzydła, płynąc myślą — do Polski.

Powrót przez Delhi i Agra, gdzie jeszcze powtórzyłem wielkie wrażenia i studja mozolne a rozkoszne, i stanąłem w Benares, Jerozolimie indyjskiej, najstarszem z miast świata, współczesnem Niniwie i Babylonowi, mającem 1500 pagód i 300 moszei. Ganges w półksiężyc jak ramieniem miłościwem go oplata; każda kąpiel w nim odbyta

czyni zbrodniarza bielszym od niego, a za każdy włos, który z głowy padnie w jego wody, milion lat obiecanych w raj. Tysiące pielgrzymów kąpie się dzień cały, golą głowy, brody i włosy i w strumień wrzucają; ubóstwiają zwierzęta chodzą ulicami, całe pałace zsunęły się z góry w wodę, a na nich stoją nowe, które się walą i tak dalej. Uwięziony łańcuchami z kwiatów przez braminów, błazilem dzień cały, trącając wszędzie o najstarsze pomniki przeszłości. Za przewodnika miałem bramina, którego opowiadaniem kilka gotowych poematów w mej głowie zawdzięczam. Łodzią, przy blasku księżycowym, kazałem się zawieźć na środek Gangesu. Stare miasto przedstawiło się mi tak, jak nie w życiu nie zobaczę. Trzy stosy płonęły na brzegach: to były ciała ludzkie, które skwierczały w ogniu i miały potem zniknąć w świętych wodach Gangesu. Krewni sami musieli stos podpalać i kijami poprawiać; rozszedł się dym o woni tak okropnej, że poczuwszy rodzaj omdlenia, odpłynąłem dalej. Luna się rozeszła po niebie i brzegach. Do jednego stosu niesiono jeszcze ciało białe okryte. Czterech niosących wołało krzycząc imię bóstwa, do którego kasty należał zmarły, opodal zaś z jego domu chór rodziny i przyjaciół wydawał krzyki rozdzierające, którym podobnego nie słyszałem. Gdy bódź moja wracała w godzinę, ogniska już gasły, a popioły popłynęły z Gangesem tam, gdzie płynię wszystko, w wieczność i nieskończoność.

Z Benares przez Burdwan piękną i urodzajną okolicą stanąłem tu w Kalkucie, która odpowiada Bombajowi. Jest to miasto równie nowe, angielskie, antypatyczno-kupieckie i niewonne.

Mam zamiar przez wyspę Ceylon, dotykając morzem Chin i Japonji, to jest miasta Szangai, Hongkong, Jokohama, wrócić przez Amerykę, Niagarę, lasy dziewicze, stopy i Nowy Jork, do którego od St. Francisco w szerz całych Stanów Zjednoczonych idzie sześciodniowa nieprzerwana kolej, w której się mieszka jak w domu. Tak więc mam odbyć podróż w kóło świata i nią zakończyć me podróże. Ekonomja sił, czasu i finansów mnie właściwa, czyni to podobnem do wykonania, choć mi się trudnem zdaje.

W całych Indjach i na okrętach miałem muzyczne sukcesy. Głównie jednak dałem się słyszeć w kołach szerokich tu w Kalkucie dwa razy wobec angielskiej i indyjskiej publiczności, w pałacu księcia indyjskiego Radża Surindro Mohun, któremu byłem rekomendowany. Niezmiernie uprzejmie mnie przyjął; grałem w sali teatralnej, umyślnie w jego pałacu na to urządzonej. Jest to Indjanin światły, protektor szkoły muzycznej w Kalkucie i członek honorowy kilkunastu naukowych towarzystw europejskich. Improvizowałem na temata włoskich oper im znanych, zachwyciły zaś wszystkich mazurki Szopena, które kilka razy wśród oklasków powtarzać musiałem.

Jest tu nie zła włoska opera; wczoraj byłem na „Lucji“; mało nie zemdląłem, tak gorąco było. Upał z każdym dniem czyni gwałtowne postępy.

Dnia 5. marca z Ceylon odplynę do Jokohama francuskim okrętem. Żal mi, żem nie poznał lorda Lyttona, wice-króla Indji, syna Bulwera, który tu nieobecny, bo mu klimat szkodzi. Napisał on wspaniałą parafrazę „Nieboskiej Komedji“ Zygmunta Krasinskiego po angielsku, za którą zamiast mu podziękować (choćby za interesowanie się naszym krajem i literaturą na tak wpływowem stanowisku jakie zajmuje), skrytykowano go najrubaszniej, po stańczykowski — o! jak to po polsku! Lord Lytton, bardzo zacna osobistość, w epoce głodowej

był nieodstępny i mnóstwo dobrego zrobił. Cóż jednak można wobec przekleństwa kast zdziałać? Czy uwierzysz, że mnóstwo Indjan pomarło z głodu, nie chcąc ryżu od innych kast ludzi, lub chrześcijan kupować, ni darmo od rządu przyjmować. Matki niekiedy pożerały dzieci, ale nie ważono się zabić wołu, który jest uświęconem zwierzęciem. Bramini, ludzie światli, którzy ze mną o miastach polskich i o historii naszej rozmawiali, tak, że byłem zdziwiony ich wiedzą, są mimo tego tak fanatyczni, że mi ręki podać nie chcieli. Jednego jednak porwałem, mówiąc: „Gdybyś tonął, mądry braminie, a ja tobie zanurzonemu po uszy podałbym rękę z brzegu, a upewniam, żebym to z serca uczynił, czy nie podałbyś mi ręki i wtedy?“ Bramin rozplakał się i podawszy obie ręce, rzucił mi się na szyję. Indjanie, widzący to w wagonie, krzyczeli: „niech żyje!“ a bramin z Tinewelli, imieniem Ramhamdza, odtąd przepada za mną, koresponduje ze mną i przysłał mi tu swą fotografię.

Lorda Lyttona nie cierpią Anglicy, bo to pierwszy gubernator, co Indjan jak ludzi traktuje. Dla tego właśnie ja go poważam. Poprzednik jego lord Mayo, został zamordowany przez galernika indyjskiego — dla czego? dojsć nie mogę. Anglicy odpowiadają albo: „nikt nie wie za co“, albo: „zapomniałem“. Pycha Albjonu siedzi tu na tronie z aloesu, niepewna siebie i pokłóta tym tronem. Niezmiernie są trwożliwi i niepewni, dla tego taką rolę teraz w Europie odegrali, bo im strach o Indje. Ja sam byłem tu podejrzany o emisarjuszostwo za zwidzanie arsenałów, portów i rozmowy z Indjaninami, które oczewiście przekładałem nad angielskie. Są jednak bardzo grzeczni, zrobili tu wiele dla postępu i kultury, a ich cnota towarzyska, na której nam tak zbywa, a którą ja tak cenię, jest dyskrecja pełna delikatności. Nieraz krwa-wiło mi się serce nad niewolą tego biednego narodu indyjskiego, ale, któż ich tu nie najeżdżał? Portugalczyki, którzy dziś w nedzy tu za to pokutują, Mongołowie, wreszcie Anglicy.

W tej chwili Indjanin po terasie pod mem oknem na rękę niosąc białe, uśpione dziecko, śpiewa mu w blasku księżyca kolysankę indyjską, ręką w takt lekko dziecka śpiącego dotykając. Tak mnie ta pieśń wzruszyła, że mi się łzy rzuciły z oczów...  
Bądź zdrow! —

## MISCELLANEA.

### Z kroniki lwowskiej.

Po zaciętej i uporeczywej walce wyborczej, zakończonej zwycięstwem stronnictwa narodowego, nastąpiła w mieście naszym cisza. W towarzystwach jednak przedmiotem rozmów są jeszcze szczegóły dopiero co odbytej walki stronnictw, która tym razem prowadzoną była bez zwykłego dawniej skalowania osób. Krytykowano zasady i poglądy przeciwników, lecz nie czepiano się osób i ich charakterów. Notujemy to w kronice naszej, jako fakt postępu w rozwoju konstytucyjnym życia publicznego u nas — tem przyjemniejszy, iż wcale niespodziewany.

Jako fakt drugi dodatniej także natury, zapisujemy zachowanie się żydów. Rozdzielili się oni podobnie jak chrześcijanie na dwa stronnictwa. Jedno mające za swój organ pismo „Zgoda“, które już dawniej występowało jako polskie, agitowało teraz i głosowało za Smolką; drugie, które było uważane za nieprzyjazne Polsce, głosowało za Gołuchowskim. Walka z żydami, podjęta w r. 1873 przez „Gazetę Narodową“

z powodu, iż żydzi pod wpływem towarzystwa „Szomer - Israel“ ogłosili się za Niemców i występowali przy wyborach w spółce ze stronnictwem świętojurców, zakończyła się przy tych wyborach w zakresie politycznym odezwą tegoż samego „Szomer - Israela“, iż działać będzie w myśl stronnictwa narodowego polskiego. Ważnem jest także świadectwo, jakie jeden z członków „Szomer - Israela“ dał charakterowi tej walki z żydami. Powiedział on, iż tym Polakom, którzy ją prowadzili, szło głównie o to, ażeby z żydów zrobić Polaków, co jest ich obowiązkiem jako tutaj zrodzonych. Dzisiaj więc i „Szomer - Israel“ działa w myśl podobną jak towarzystwo „Dorsze - Szulom“ i żydzi politycznie są w zgodzie z Polakami.

Dalsze występowanie przeciwko lichwie i wyzyskiwaniu ludu, przeciwko towarzyskiej odrębności żydów, przeciwko używaniu przez nich niemieckiego języka i tworzeniu odrębnego przez nich społeczeństwa w naszym społeczeństwie, nie będzie też poczytywanem przez nich za akt nieprzyjaźni i niechęci, lecz za to, czem jest rzeczywiście, to jest za pracę nad wspólnem dobrem kraju i wykorzeniem tego wszystkiego, co zmniejsza jego siłę i znaczenie. Żydzi szlachetni i rozumni, dobrze rozumiejący ogólne potrzeby kraju i poczuwający się do obowiązków obywatelstwa polskiego, będą pracować wspólnie z chrześcijanami nad usunięciem tego zła, które się najwięcej pomiędzy ich współwyznawcami rozszerzyło. Jak chrześcijanie wytykając przesady, wady, błędy i w ogóle złe pomiędzy nimi rozpowszechnione, nie są i nie mogą być poczytywani za systematycznych wrogów chrześcijańskiego społeczeństwa, lecz owszem uważani być powinni za szczególnie mu życzliwych obywateli, tak też i ściszenie zła pomiędzy żydami wkorzonego, nie może i nie powinno na nikogo sięgać zarzutu nienawiści lub oskarżenia o systematyczną nieprzyjaźń ku żydom. Tak dopiero pojęta walka ze złem, gdziekolwiek ono jest, wyda dobre owoce, nie rzuci w łono ludności nasion niezgody i nie podzieli jej na nieprzyjazne obozy.

W przeszłym tygodniu wyjechała z miasta naszego (28. marca) deputacja do Rzymu, wioząc adres z 40.000 podpisami, który drukowaliśmy w „Ruchu“. Kardynał - sekretarz stanu Franchi telegrafem zawiadomił komitet adresowy, iż papież Leon XIII nazaczył posłuchanie naszej deputacji pomiędzy 5. a 10. kwietnia r. b. Po nadejściu wiadomości o odbytem posłuchaniu u Ojca świętego i powrocie naszej deputacji, podamy w tej kronice historję lwowskiego adresu, który stał się wyrazem uczuć i poglądów całej Polski, przyczem skreślimy pokątne zabiegi, czynione w celu zwiecznienia go i odebrania mu wszelkiego znaczenia. Wykaże się przytem, iż stronnictwo, z którym tyle razy zmuszeni byliśmy kruszyć kopie w obronie zasad narodowych i interesu polskiego, nawet w tej manifestacji uczuć katolickich sięgało swoją niechęcią myśl polską w adresie zawartą.

W tym tygodniu znowuż notujemy kilka walnych zgromadzeń naszych towarzystw, a na pierwszym miejscu walne zgromadzenie Towarzystwa galicyjskiego Kasy Oszczędności, które się odbyło dnia 23. marca we własnym gmachu, pod przewodnictwem hr. Kazimierza Krasickiego. Stan Kasy Oszczędności nie zostawia nic do życzenia. Z dochodów swoich Kasa Oszczędności poczyniła w r. p. następujące dobroczynne ofiary: na budowę szpitalika małych dzieci ofiarowała 1000 złr.; na budowę domu Towarzystwa muzycznego 500 złr.; dla ochronek chrześcijańskich 400 złr.; dla zakładu ciemnych 400 złr.; głuchoniemych 400 złr.; dla żeńskiego Towarzystwa św. Wincentego a Paulo 400 złr.; Towa-